

Zmęczony jak nauczyciel

Bywa tak. Teresa Baniukiewicz – dla uczniów z toruńskiego Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 2 „Bania” – do zawodu zapalona jest od 37 lat. Zapalona, zaznacza, nie wypalona. I rzeczywiście: próżno szukać u niej wymienianych przez lekarzy symptomów przemęczenia. Może poza jednym: na wszystkich chłopców z wszystkich klas mówi tak samo: „Franek”. – U mnie dyscyplina była zawsze – mówi. – Jak Franek dostanie jedynekę, to nigdy nie skacze. Zawsze wie, za co dostał.

Polonistka, laureatka niezliczonych konkursów, posiadaczka kilkudziesięciu edukacyjnych nagród – nie wyobraża sobie życia bez szkoły. Lęki? – Przyjdzie taki moment, że już będzie wiadomo: koniec wyjść z dziećmi do teatru, koniec gwaru na korytarzu.

Dlatego szkołę Baniukiewicz odstawia stopniowo, po kilka godzin rocznie.

Psychologia i wypalenie

Bywa też zgola inaczej, a początek końca wygląda z grubsza tak. Apatia, zniechęcenie, spadek zaangażowania, chroniczne wyczerpanie, bezsenność, bóle głowy, utrata wagi. Potem coś, co dla tej dolegliwości charakterystyczne: depersonalizacja podmiotów pracy, jak mówią psychologowie. Czyli nic innego jak oddalanie, dystansowanie się od ludzi, traktowanie ich jak anonimową masę. Dla lekarza, zamiast pacjenta z imieniem i nazwiskiem będzie to woreczek żółciowy spod okna w „piątce” albo wątroba spod „szóstki”. Dla nauczyciela anonimowa zgraja, banda, „ci z 6 A”.

– Charakterystyczne jest nadawanie ksywek, unikanie imion, osobistego kontaktu, uśmiechu – mówi prof. Helena Sęk, psycholog z UAM w Poznaniu, od lat badająca zjawisko wypalenia zawodowego. – Taki nauczyciel podczas przerwy jest tylko strażnikiem. Do nikogo nie podchodzi, z nikim nie rozmawia.

Depersonalizacja to ochrona przed tym, co wypala. Przed zaangażowaniem, emocjami, wzruszeniami, nerwami. Przed sytuacją, w której coś nas dotknie, wypali już ponad miarę. – Depersonalizacja odróżnia wypalenie od innych dysfunkcji psychosomatycznych – mówi prof. Sęk. – A zaczyna się, gdy stres, którego doświadczamy w pracy, przez dłuższy czas nie daje się zlikwidować.

Wypalenie może skończyć się zmianą zawodu albo wizytą u psychologa. Może też skończyć się depresją, zawalem serca i rentą. Dotyczy głównie zawodów służby społecznej. Pielęgniarek, psychologów, mediatorów, lekarzy czy nauczycieli. – Mamy

Zniechęcenia polskiego nauczyciela nie zlikwidują wcześniejsze emerytury – choćby i w wieku 50 lat – bo jest ono produktem systemu: kształcenia, selekcji do zawodu i warunków pracy. Co zrobić, by zawód pedagoga przestał się kojarzyć z frustracją?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

w tych zawodach wysoki poziom odpowiedzialności za innych, konieczność ciągłej kontroli wyrażania emocji i zaangażowanie sfery umysłowej – mówi prof. Alicja Bortkiewicz z łódzkiego Instytutu Medycyny Pracy.

Inny ważny element to stałe wystawienie na publiczną ocenę. – Nauczyciel musi stać twarzą do uczniów i tej twarzy nieustannie bronić – mówi prof. Sęk. – Łatwo nie jest, bo uczniowie tylko czekają, by udowodnić, że czegoś nie wie.

Badania dotyczące stresu zawodowego świadczą o tym, że poczucie zmęczenia wśród nauczycieli wzrasta. – W latach 90., w badaniach robionych w Australii, Nowej Zelandii i USA, 30 proc. nauczycieli stwierdziło, że ma stresujący zawód – mówi prof. Bortkiewicz. – W powtórzonych badaniach, z 2007 r., okazało się, że zestresowanych jest już dwie trzecie pytaných.

Badania polskie, przeprowadzane przez Instytut Medycyny Pracy, wykazały, że nieustanny stres w pracy odczuwa 40 proc. nauczycieli. Jak zaznacza prof. Bortkiewicz, stres jest jedynym elementem, który sam – bez towarzyszących mu innych czynników – może doprowadzić do choroby albo zabić.

Kolejny istotny w pracy nauczyciela czynnik to hałas. Na przerwie sięgający 90 decybeli, czyli tyłu, ile wytwarza włączony odkurzacz. – Udowodniono, że dla chorób układu krążenia szczególnie „sprzyjające” jest połączenie dwu elementów: stresu i hałasu – mówi prof. Bortkiewicz.

Do wszystkiego, co związane z naturą zawodu – odpowiedzialności, konieczności kontrolowania emocji, hałasu – dochodzą nowe czynniki. To przemiany XX i XXI wieku. Wśród nich obyczajowe.

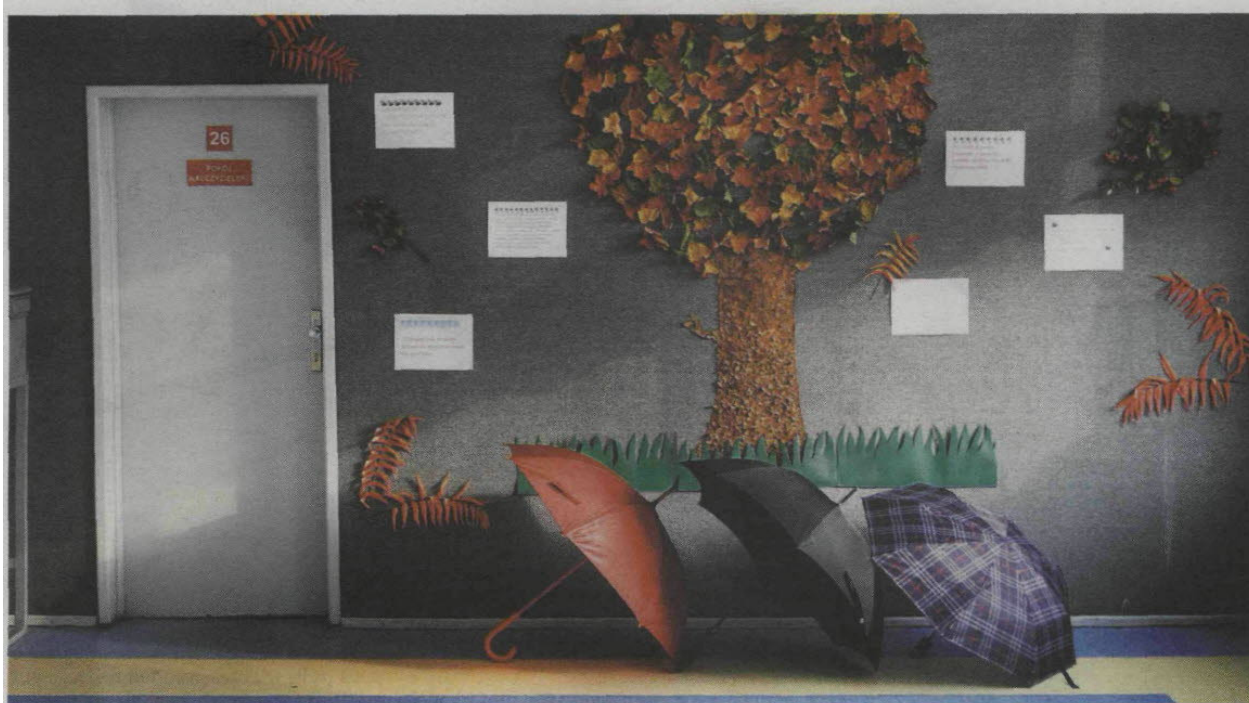
Edukacja i XXI wiek

By je zauważyć, nie trzeba wracać do osławionego śmietnika na głowie toruńskiego anglisty. Wystarczy przeczytać wpisy na internetowych forach. Choćby taki: „Jestem świeżo upieczonym nauczycielem (...) Jeden z uczniów na pierwszej lekcji groził mi przemocą fizyczną, wyciągając pięści i dwukrotnie mówiąc »chodź na solówkę« (...) Chodził po klasie i przeklinał. W pewnym momencie wziął krzesło i udawał, że chce w jednego ze swoich kolegów nim rzucić. Wtedy powiedziałem stanowczym głosem, że ma to zostawić i usiąść na miejsce. On odstawił krzesło i wystawił pięści (...) Coś mu chyba nawet powiedziałem, że nauczyciela nie wolno bić, bo taki czyn jest traktowany tak jak pobicie policjanta. Wtedy usiadł i się spytał, kiedy kończę lekcje...”

Mówią do siebie: »zrób mi loda«, »strzep se konia«, ciągle coś słyszę o filmach porno, np. pytają mnie, czy widziałem film »Gorące dziewczyny«. Nawet taki jeden, co siedział w kącie, coś gmerał przy spodniach i mówił, że mam popatrzeć, a klasa pokazywała na niego palcem i się śmiała. Odwróciłem głowę do okna i nie patrzyłem”.

Prof. Marta Zahorska z Zakładu Socjologii Oświaty i Wychowania Instytutu Socjologii UW: – Rewolucja obyczajowa polega głównie na skróceniu dystansu między starymi i młodymi. A szkoła jest przecież na tym dystansie oparta. Nauczyciele skarżą się podczas wywiadów: kiedyś szło się korytarzem, a młodzież się kłaniała. Teraz trzeba uważać, żeby rozpedzony uczeń na ciebie nie wpadł.

Ale XX i XXI wiek to nie tylko przemiany obyczajowe. To też nowe zjawiska społeczne, choćby związane z globalnymi migracjami, które stają się wyzwaniem również dla edukacji. To również tendencja do zwiększania autonomii szkół i samych nauczycieli. Wydany w 2008 r. raport Eurydice (sieci edukacyjnej zbierającej i porównującej informacje oraz dane o systemach edukacyjnych w zjednoczonej Europie) „Zakres autonomii i odpowiedzialności nauczycieli w Europie” pokazuje, że zwiększenie zakresu obowiązków nauczyciela to wyraźny w Europie trend. I tak w większości krajów – w tym w Polsce – nauczyciel decyduje dziś nie tylko o tym, jak uczyć, ale też z czego (dobór podręczników) i czego uczyć (dobór szczegółowych treści programowych).



SEBASTIAN RZEPPEL / AGENCJA GAZETA

Zespół Szkół Zawodowych w Zielonej Górze, 14 października 2008 r. – Dzień Nauczyciela

Efekt? Coraz więcej nauczycieli nie radzi sobie z obowiązkami. I nie chodzi nawet o spektakularne wypalenie – depresje, choroby, załamania – ale o coś, co mniej widoczne, a bardziej powszechne: zwykle zatracenie poczucia sensu wykonywanej pracy. W polskiej wersji to typ nauczyciela-frustrata, niezadowolonego w sali, na korytarzu, a zwłaszcza przy szkolnej kasie. To szkolny kombatant, jakiego sportretował w „Dniu Świra” Marek Koterski. Tyle że zwykle mniej zabawny.

Socjologia i zniechęcenie

Jaka jest w Polsce skala tego niezadowolenia? Większa niż w krajach zachodniej Europy. Z raportu sieci Eurydice (cykl „Zawód nauczyciela w Europie: profil, wyzwania, kierunki zmian”) wynika, że europejski nauczyciel jest ze swojego zawodu ogólnie zadowolony. Taką satysfakcję deklaruje 98 proc. nauczycieli w Szwecji, 80 proc. w Holandii, Austrii i Finlandii, a 66 we Francji. Tymczasem w Polsce, jak wynika z badań opublikowanych w ubiegłym roku przez Instytut Medycyny Pracy, aż 44 proc. nauczycieli nie widzi sensu swojej pracy (badania dr. Jacka Pyzalskiego).

Paradoksalnie, badania socjologiczne wskazują, że niezadowolenie nauczycieli nie idzie w parze ze spadkiem społecznego uznania dla ich pracy. Badania TNS OBOP z sierpnia 2008 r. (porównane z podobnymi, przeprowadzonymi 12 lat wcześniej) pokazują, co prawda nieznaczny spadek prestiżu zawodu – nieco mniejszy odsetek pytanym wskazuje na nauczyciela jako zawód cieszący się szacunkiem, również nieco mniej respondentów wybrałoby ten zawód dla swoich dzieci – ale nauczyciel to nadal profesja utrzymująca się w czołówce zawodów cenionych przez Polaków.

Jakie są zatem główne źródła frustracji polskiego nauczyciela? Po pierwsze fatalne płace: siła nabywczą polskiej pensji nauczycielskiej jest trzy-, cztero- lub nawet pięciokrotnie niższa niż w większości krajów „starej” Unii. I co chyba najbardziej frustrujące, na zarobki nie wpływa fakt, że nauczyciel długo zdobywa wykształcenie (choć zależność między zarobkami

i wykształceniem dotyczy większości zawodów).

Na finansową frustrację wpływa dodatkowo fakt, że nielato nauczycielowi zmienić zawód. Zniechęcenie narasta zatem z wiekiem, polski nauczyciel, a właściwie częściej nauczycielka (zawód ten jest jedną z najbardziej sfeminizowanych profesji w Polsce) nie jest w stanie zapewnić rodzinie godziwego bytu, a jeśli maż zarabia dużo, jej praca staje się zajęciem półhobbystycznym.

Teresa Baniukiewicz: – Prawie zawsze zylam z pożyczek. Nigdy nie dostałam na rękę więcej niż 1500 zł. Kiedy przeczytałam ostatnio w gazecie, że nauczyciele zarabiają 3 tys. złotych brutto, wybuchłam śmiechem.

Na co jeszcze narzekają polscy nauczyciele?

Prof. Zahorska: – Na ministerstwo. I to niezależnie od tego, kto nim rządzi. Kryje się za tym przekonanie, że przepisy są wymyślone „zza biurka”.

Teresa Baniukiewicz: – Urzędnicy z ministerstwa nie mają pojęcia o tym zawodzie. Wymyślają coś, żeby się wykazać. A czy to zadziała, to już ich nie obchodzi.

Prof. Zahorska: – Na reformy. Choćby tę gimnazjalną. Szczególnie ci, którzy trafili do gimnazjów z podstawówek.

Baniukiewicz: – Test wyboru to nieporozumienie, przez takie wymysły uczniowie w gimnazjum tylko wkuwają, mówią jak komputery.

Prof. Zahorska: – Na system awansów, który nie odróżnia nauczycieli przykładających się od tych, którzy tego nie robią.

Baniukiewicz: – Od tych stopni zaczęło się kopiowanie prac, lewe podpisy i zdjęcia na te gazetki szkolnej.

Jeśli dodać do tego, że polski system wynagradzania nie różniuje nauczycieli ze względu na przedmiot, jakiego

uczą – nauczyciel wychowania fizycznego pracuje mniej niż sprawdzająca godzinami prace uczniów polonistka – lista frustracji staje się bardzo długa.

Polityka i pomostówki

Na te frustracje nakłada się polityka w swoim najgorszym wydaniu: to związkowcy i politycy, którzy – ustrojeni w piórka obrońców uciśnionych – głoszą hasła łatwe, wygodne i nie-realistyczne.

Za przykład upolitycznienia dyskusji o kondycji zawodu nauczyciela niech posłuży niedawna debata nad emeryturami pomostowymi. Debata zerojedynkowa, w której nie było miejsca na niuanse, bo istniały dwa obozy. „Kto przeciw pomostówkom, ten przeciw nauczycielom” – grzmieli przedstawiciele związków zawodowych, a wtórowała im opozycja, która najwyraźniej zapomniiała, że kilka lat wcześniej przygotowywała ustawę w podobny sposób ograniczającą pomostówki.

Upolityczniono nawet – co staje się w polskim życiu publicznym normą – instytucję eksperta: strona rządowa co rusz szantażowała przeciwnika mitycznymi „ekspertami medycyny pracy”, mającymi jakoby moc obiektywnego i ostatecznego rozstrzygnięcia, jaka praca jest szczególnie wyniszczająca, zaś strona związkowa dezawuowała fachowców rządowych fachowców, przeciwstawiając im własnych (co charakterystyczne, zarówno ci, jak i tamci eksperci pozostali opinii publicznej bliżej nieznanymi).

W tej licytacji na ekspertów (choć bez ich udziału) jedynie w tle majaczyła społeczno-ekonomiczna pragmatyka: państwa polskiego nie stać na zachowanie wcześniejszych emerytur. Co więcej: odchodzi od nich bogatsza od nas część Europy (wcześniejsze emerytury dla nauczycieli zlikwidowano

lub ograniczono choćby w Finlandii, Norwegii czy Wlk. Brytanii, zaś w krajach, w których uprawnienie utrzymo, staż pracy potrzebny do odejścia na emeryturę wynosi zwykle trzydzieści lub więcej lat).

Ekonomiczna pragmatyka, starzenie się społeczeństw oraz – w konsekwencji – ogólnoeuropejska tendencja, by podnosić wiek emerytalny, to wystarczająco mocne powody, by debatę nad kondycją zawodu nauczyciela przekierować z rozmowy o tym, jak pomóc nauczycielowi szybciej salwować się obozy. „Kto przeciw pomostówkom, ten przeciw nauczycielom” – grzmieli przedstawiciele związków zawodowych, a wtórowała im opozycja, która najwyraźniej zapomniiała, że kilka lat wcześniej przygotowywała ustawę w podobny sposób ograniczającą pomostówki.

Pierwsza część odpowiedzi jest prosta: więcej mu zapłacić. Druga jest już nieco trudniejsza, a zawiera się w dyskusji o systemie kształcenia nauczycieli.

Kształcenie i odporność

– Kształcimy zbyt wielu w stosunku do potrzeb – mówi prof. Anna Wilkomirska z Wydziału Pedagogicznego UW. – Obok kierunków dziennych na uniwersytetach są studia zaoczne i prywatne, na które kandydaci są przyjmowani praktycznie bez warunków wstępnych. To musi odbić się na jakości i zwiększyć negatywną selekcję do zawodu.

Jak dodaje prof. Henryka Kwiatkowska z Wydziału Pedagogicznego UW, uczelnie, a zwłaszcza uniwersytety, nie mają interesu w tym, by kompleksowo kształcić nauczycieli. – To im się po prostu nie oplaca – mówi. – Dowodem jest ustawiczna redukcja tego kształcenia, np. likwidacja praktyk pedagogicznych, niewypełnianie standardów kształcenia psycho-pedagogicznego, sprawdzanie tego kształcenia do roli wykładu.

I właśnie brak praktycznego wykształcenia psychologicznego i pedagogicznego jest najczęstszą wymienianą wśród źródeł bezradności – a w konsekwencji frustracji – nauczycieli. Prof. Kwiatkowska: – Wielu polskim nauczycielom brak kompetencji zawodowych, które ogniskują się w pytaniach: jak nawiązać kontakt z klasą i jak sobie radzić z dyscypliną

w warunkach zwiększonych roszczeń młodzieży, dużej podaży alternatywnych, i co ważne – atrakcyjnych dla młodzieży źródeł wiedzy.

– Studentów za mało uczy się, jak utrzymać koncentrację, co robić z agresją, z tendencjami społecznymi, przemocą, również tą seksualną – dodaje prof. Helena Sęk. – Powinno być więcej warsztatów, które nauczą kandydata na nauczyciela kompetencji społecznych, komunikowania, nawiązywania i utrzymywania relacji.

Stresujące relacje to nie tylko kontakty uczeń-nauczyciel. To również lekceważona w programach kształcenia trudna relacja nauczyciel-rodzic. – Polski nauczyciel jest tu pozostawiony sam sobie – mówi prof. Zahorska. – Na wywiadówkę przychodzi 20 osób, od hutnika do profesora. Nauczyciel nie wie, jak wybrnąć z sytuacji konfliktowych.

Kolejny problem to niska jakość praktyk na studiach. Prof. Anna Wilkomirska: – 180 godzin, a często nawet mniej, to za mało, by przygotować nauczyciela do zawodu. Poza tym nie ma współpracy między uniwersyte-tem a szkołą: uczelnia nie kontroluje praktyk, bywa, że nie ma hospitacji. W efekcie student traktuje praktyki jak kolejne uciążliwe zadanie domowe.

Młoda anglistka z Krakowa: – Praktyki ograniczyły się do kilkunastu godzin prowadzenia zajęć i butelki dobrego alkoholu dla nauczycielki.

Kiedy kandydat do zawodu staje się nauczycielem, na powitanie czeka go kolejna edukacyjna fikcja: etap bycia tzw. nauczycielem stażystą. Jak mówi prof. Anna Wilkomirska, w Europie okres ten nazywany jest fazą nabywania kwalifikacji w miejscu pracy i ma nieporównywalnie poważniejsze znaczenie niż w Polsce. – Tam jest to etap kształcenia, a u nas to pierwszy etap pracy zawodowej.

Na domiar złego, sfrustrowany i zestresowany nauczyciel – produkt końcowy polskich warunków pracy, ofiara niepraktycznego systemu kształcenia, świadek przemian XX i XXI wieku – nie wie, jak poradzić sobie z własnym wypaleniem. Nie wie, bo również i tego nie uczy się go na studiach. – Odpowiednie warsztaty pomogłyby choć czasami wyładowywać napięcia związane z codziennym wykonywaniem zawodu – mówi prof. Sęk.

I trudno tę prawdę zagłuszyć rytualnymi już argumentami o długich nauczycielskich wakacjach oraz osiemnastogodzinnym pensum. Trudno też osłabić ją przykładami niezniszczalnych pasjonatów, których w polskich szkołach kala masa.

Teresa Baniukiewicz „Bania”, polonistka z Torunia, o wypaleniu zawodowym wie tyle tylko, że jest. Gdyby to od niej zależało, pojęcie to bezprowrotnie wykasowano by ze słownika języka polskiego. Wraz ze słowami: zmęczenie, emerytura, pomostówki.

Według niej wypalenie dotyczy nauczycieli bez pasji: – Wpadają, wypadają, odwalają zajęcia, męczą się. A najgorsze – mówi ze śmiertelną powagą – że oddzielają życie zawodowe od prywatnego. ◆



Siła nabywczą polskiej pensji nauczycielskiej jest trzy-, cztero- lub nawet pięciokrotnie niższa niż w większości krajów „starej” Unii.